Zawsze sądziłem, że moment, w którym człowiek spotyka miłość swojego życia, przypomina scenę z filmu. Oczywiście, nie żywcem zdjętą z ekranu, bo bez zwolnionego tempa, bez włosów unoszących się na wietrze oraz narastającego brzmienia ścieżki dźwiękowej. Uważałem jednak, że to będzie coś zauważalnego. Trzepot serca. Szarpnięcie za duszę i wewnętrzny głos mówiący: „Jasna cholera. Oto ona. W końcu – wreszcie. Ona”.

Nic takiego się nie wydarzyło, gdy we wtorek w drugim tygodniu ostatniego roku nauki Grace Town weszła z dziesięciominutowym spóźnieniem na zajęcia teatralne prowadzone przez panią Beady. Grace należała do tego typu osób, które zawsze zwracają na siebie uwagę, chociaż nie z powodów budzących natychmiastowy podziw i nieustające uwielbienie. Miała przeciętny wzrost, przeciętną sylwetkę i była przeciętnie atrakcyjna, co powinno ułatwić jej adaptację w nowej szkole bez żadnych dramatycznych zwrotów zwykle towarzyszących tego typu okolicznościom.

Istniały jednakże trzy cechy, które natychmiast rzucały się w oczy, zanim ktokolwiek zdołał zauważyć jej zwyczajność:

1. Grace była od stóp do głów ubrana po męsku. I wcale nie chodziło o stylizację na chłopczycę, tylko o konkretne chłopięce ciuchy, o wiele na nią za duże. Wąskie z założenia dżinsy musiała przytrzymywać paskiem, żeby jej się nie zsuwały z bioder. Chociaż była dopiero połowa września, miała na sobie sweter, koszulę w kratę oraz wełnianą czapkę, a na szyi długi rzemyk z kotwicą.

2. Grace wyglądała niezbyt świeżo. Widywałem ćpunów w lepszym stanie niż ona tamtego dnia. (Co prawda wielu ich nie spotkałem, ale oglądałem *Prawo ulicy* i *Breaking Bad*, a to się liczy). Jasne włosy miała fatalnie obcięte i nieuczesane, jej cera wydawała się ziemista. Przypuszczam, że gdybym miał okazję ją powąchać, okazałoby się, że Grace śmierdzi.

3. Gdyby powyższe argumenty nie wystarczyły, żeby totalnie spieprzyć jej szanse na ciepłe przyjęcie w nowej szkole, istniał jeszcze jeden: Grace Town weszła do klasy, podpierając się laską.

Tak się właśnie sprawy miały, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Żadnego zwolnionego tempa, żadnego powiewu, ścieżki dźwiękowej, a już na pewno żadnego trzepotania serca. Grace wkuśtykała do sali dziesięć minut po rozpoczęciu lekcji, nie mówiąc ani słowa, jakby chodziła z nami do szkoły od wielu lat. Nie wiem, czy to dlatego, że była nowa, czy chodziło o jej dziwaczność, czy może profesor Beady od razu domyśliła się, że Grace ma złamaną duszę, w każdym razie nic nie powiedziała. Grace zajęła miejsce z tyłu sali teatralnej, położyła laskę na udach i do końca zajęć milczała.

Zerknąłem na nią jeszcze dwukrotnie, ale zanim lekcja się skończyła, zapomniałem o jej obecności, a ona wymknęła się z klasy niezauważona.

Tak więc z pewnością nie jest to opowieść o miłości od pierwszego wejrzenia.

Chociaż jest to opowieść o miłości.

To znaczy...

Coś w tym rodzaju.

(…)

Usiedliśmy na krzesłach stojących naprzeciwko jego biurka. Zmarszczyłem czoło, zajmując miejsce, nie rozumiałem bowiem, co tu robi Grace.

– Znaleźliście się tutaj, rzecz jasna, ze względu na wasze wyjątkowe zdolności literackie. Jeśli chodzi o wybór redaktorów naszej gazetki, nie mógłbym znaleźć lepszych...

– Nie. – Grace Town przerwała mu w pół słowa, a ja doznałem wstrząsu, bo zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie słyszałem jej głosu. Był mocny, głęboki, czysty, tak bardzo odbiegający od obrazu nieśmiałej, rozbitej i załamanej dziewczyny, który sobą prezentowała.

– Słucham? – Profesor nie krył zdumienia.

– Nie – powtórzyła, jakby to miało wystarczyć za wszelkie wyjaśnienia.

– Ale... Nie rozumiem. – Pan Hink rzucił błagalne spojrzenie w moją stronę. Niemal słyszałem jego nieme wołanie o pomoc, ale co mogłem zrobić? Tylko wzruszyłem ramionami.

– Nie chcę być redaktorką. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał, jednak nie. – Grace podniosła torbę i wstała.

– Panno Town. Grace. Martin skontaktował się ze mną na początku roku szkolnego i poprosił, bym przyjrzał się twojej pracy w East River. Jak rozumiem, gdybyś się nie przeniosła, w tym roku przejęłabyś funkcję redaktorki naczelnej ich gazetki, prawda?

– Już nie piszę.

– Wielka szkoda. Piszesz pięknie. Masz dar wysławiania się.

– A pan profesor ma dar głoszenia pustych frazesów.

Hink był tak zszokowany jej komentarzem, że otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

– Przepraszam – zreflektowała się. – To tylko słowa. One nic nie znaczą.

Popatrzyła na mnie jakby z dezaprobatą, czego się nie spodziewałem i nie rozumiałem, a potem przerzuciła plecak przez ramię i wykuśtykała z gabinetu. Siedzieliśmy z Hinkiem, nie odzywając się ani słowem, próbując przetrawić scenę, której byliśmy świadkami. Musiało minąć dobrych dziesięć sekund, zanim sobie uświadomiłem, że jestem wściekły, a kiedy to do mnie dotarło, wstałem, zabrałem plecak, i ruszyłem do drzwi.

(…)

Tego dnia nie miałem nic specjalnego do roboty, nie licząc planowania, więc uruchomiłem swoją listę utworów ze Spotify. Pierwsza rozbrzmiała piosenka *Hey* Pixies. „Been trying to meet you”, śpiewał Black Francis. Podkręciłem nieco głośność i nuciłem razem z wokalistą, jednocześnie logując się do poczty (i dochodząc do wniosku, że powinienem jeszcze raz obejrzeć *Diabeł ubiera się u Prady*, skoro zostałem redaktorem, bo może znalazłbym tam cenne wskazówki). W pewnym momencie kątem oka dostrzegłem jakiś ruch, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że Grace Town powtarza bezgłośnie słowa. *If you go, I will surely die*, nuciła z roztargnieniem, przeglądając trzydzieści stron regulaminu obejmującego tematy, których nie wolno nam poruszać (odpadał seks, dragi oraz rock’n’roll, innymi słowy – nie mogliśmy pisać o niczym istotnym z punktu widzenia nastolatków).

– Znasz Pixies? – zapytałem ją po pierwszym refrenie.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie przez ramię, ale nie od razu mi odpowiedziała.

– Spotkałeś mnie w bardzo dziwnym momencie mojego życia – odparła w końcu. Ponieważ milczałem, przechyliła nieco głowę w bok. – *Podziemny krąg*? Piosenka *Where Is My Mind*?

– Wiem. *Podziemny krąg* to jeden z moich ulubionych filmów.

– Moich też.

– Poważnie?

– Taaa. Dlaczego cię to dziwi?

– Większość dziewczyn... – zacząłem.

Lola gwałtownie uniosła rękę.

– Lepiej się dobrze zastanów, Henry Page’u, jakie będą twoje następne słowa – ostrzegła. – Mało kiedy cokolwiek dobrego wynika ze zdania, które zaczyna się od „większość dziewczyn”.

– To prawda – zgodziła się Grace.

– Eee... Miałem zamiar powiedzieć, że wiele – nie większość – ale wiele dziewczyn, które znam, nie lubi *Podziemnego kręgu*.

– Ja lubię, ty szowinisto.

– Większość dziewczyn nie lubi inteligentnych filmów? – zapytała Grace. – Czy dziewczyny, które lubią *Podziemny krąg*, są jak unikatowe płatki śniegu i dlatego można uznać je za lepsze od pozostałych przedstawicielek płci pięknej?

– Jezu, nie to miałem na myśli. Dziewczyny z naszej szkoły pewnie nigdy nawet nie widziały Podziemnego kręgu.

– Ja należę do płci żeńskiej i go oglądałam – odezwała się Lola.

– No proszę. W tym pomieszczeniu znajdują się dwie kobiety i sto procent z nich obejrzało film, o którym mówisz. Twoje statystyki dotyczące „większości dziewczyn” wymagają ponownej analizy.

– W takim razie już się lepiej nie będę odzywał – odparłem. – Bo jeszcze z moich ust wydostaną się kolejne patriarchalne stereotypy.

Grace uśmiechnęła się szeroko.

(…)

– A niech mnie kangur kopnie. – Murray uderzył mnie w plecy, gdy tylko postawiłem nogę. – Skombinowałeś sobie fankę-desperatkę.

– Ona tylko podwiozła mnie do domu.

– O mój święty Boże – powiedziała Lola, kiedy rzuciłem plecak na podłogę i opadłem na sofę. – Coś tu się szykuje, Page, nie mam co do tego wątpliwości.

Murray wskoczył mi na kolana, a jego zboczone cielsko zmiażdżyło mi uda. Objął mnie za szyję i przycisnął czoło do mojego.

– Jesteś pewien, że nic między wami nie ma? Bo być może szpiegowaliśmy cię zza tego zapaskudzonego okna i widzieliśmy, jak wpatrywaliście się sobie głęboko w oczęta.

– Chyba obydwoje powinniście wrzucić na luz – odparłem, próbując – bezskutecznie – oderwać od siebie Murraya. – To szajbuska. Sądzę, że jest samotna i z nikim tu się jeszcze nie zaprzyjaźniła, więc się do mnie przyczepiła, ponieważ byłem dla niej miły.

(…)

W poniedziałek po lekcjach Grace już na mnie czekała obok mojej szafki. Chyba nigdy się nie dowiem, jak udawało się jej tak szybko wymykać z ostatnich zajęć, ale począwszy od tamtego dnia zawsze to robiła.

– Podwieźć cię? – zapytała, a ton jej głosu oraz mina zdradzały (deprymująco?), że nie jest uszczęśliwiona moim widokiem, jakby miała nadzieję, że się jednak nie pojawię.

– Pewnie – odparłem ostrożnie.

Tym samym narodził się zwyczaj, który miał ukształtować nasze relacje. Razem szliśmy do jej domu, po drodze Grace złorzeczyła na wszystkie samochody, które na nas trąbiły. Potem zostawiała mnie na zarośniętym trawniku przed budynkiem, a sama szła po kluczyki. Rzucała mi je i kazała siadać za kierownicą. W aucie albo wpatrywała się przed siebie z kamienną twarzą i milczała, albo zadawała mi pytania w rodzaju:

– Jaka jest twoja ulubiona piosenka?

(…)

– Wejdziesz? – zaproponowałem pod wpływem impulsu, kiedy wysiedliśmy z samochodu.

– Dlaczego?

– Eee, no nie wiem. Moglibyśmy pogadać i tak dalej. No wiesz, jeśli masz ochotę.

– Popołudniami zawsze gdzieś chodzę.

– Jasne. Zauważyłem. W takim razie do jutra.

Grace westchnęła.

– Spotkajmy się w tym miejscu, kiedy już zajdzie słońce.

– Dlaczego?

– Nie chciałeś pogadać?

– A tak. Oczywiście.

– Więc się spotkajmy. Dzisiaj wieczorem, po zachodzie słońca. Tutaj. Okej?

– Czy będziemy robić coś nielegalnego, czy... Bo wiesz, to podkreślanie, że po zachodzie słońca, brzmi dość diabolicznie.

Grace zdobyła się na ten swój zmęczony uśmiech.

– Do zobaczenia wieczorem, Henry Page’u. – To powiedziawszy, odwróciła się, pokuśtykała przed siebie i zniknęła za zakrętem.

Z pewnych powodów nie powiedziałem moim piwnicznym przyjaciołom o spotkaniu z Grace. Cokolwiek nas łączyło, wydawało się bardzo delikatne i kruche, nic z rzeczy, które można omawiać w grupie i rozkładać na czynniki pierwsze. W głębi duszy chyba byłem święcie przekonany, że z tego nic nie wyniknie. Wolałem nie ryzykować upokorzenia, jakie by mnie niechybnie czekało, gdybym powiedział Loli i Muzowi, że prawie zakochałem się w dziewczynie, ale ona nie odwzajemniła mojej sympatii. Udałem, że źle się czuję, więc niechętnie wrócili do własnych domów zjeść własny obiad, zamiast pasożytować na mnie, jak to zwykle bywało. A kiedy już sobie poszli, zostało mi tylko powiedzieć rodzicom, że wychodzę.

(…)

Popołudnie mijało zbyt powoli, a potem, ostatnie minuty poprzedzające zachód słońca – o wiele za szybko. Nie wiedzieć kiedy zrobiło się ciemno i szedłem do wyjścia, krzycząc „na razie” do rodziców, gorączkowo zastanawiając się, jak mogę zacząć rozmowę z Grace, o co ją zapytać, żeby podtrzymać konwersację. W jej obecności zawsze ogarniała mnie trema, mój umysł stawał się przepastną próżnią, w której trudno było znaleźć cokolwiek, żeby uratować honor.

Samochodu Grace nie było pod domem, zniknął tak samo jak poprzednio. Stanąłem przy skrzynce, trzęsąc się na zaskakująco zimnym wietrze. Upłynęło dobrych pięć minut, zanim kątem oka dojrzałem w oddali jakiś ruch. Na końcu ulicy stała niewielka, ciemna postać i kiwała na mnie w mroku. Z tej odległości nie widziałem twarzy, jedynie zarys zaskakująco szerokich ramion. To nie był kształt, za którym człowiek miałby ochotę podążać w ciemności. Ponieważ się nie ruszyłem, Grace skinęła na mnie ponownie, tym razem przesadnym gestem – całą ręką i jeszcze laską. Podbiegłem, zasuwając zamek kurtki. Grace miała na sobie typowy dla siebie chłopięcy strój, w tym kurtkę futbolówkę tak wielką, że mogłaby ją nosić zamiast sukienki.

(…)

Opadła mnie mgławica różnych uczuć. Zwykle bez problemu rozpoznawałem własne emocje: radość, smutek, złość, wstyd. Łatwe do sklasyfikowania i określenia. To jednak było dla mnie zupełną nowością. Coś jak pajęczyna myśli rozgałęziająca się we wszystkich kierunkach, tyle że żadna z nich nie miała większego sensu. Było to uczucie potężne, rozmiarów całej galaktyki, tak ogromne i pokręcone, że mój biedny umysł go nie ogarniał. Kiedy człowiek dowiaduje się, że Drogę Mleczną tworzy 400 miliardów gwiazd, myśli sobie: „O cholera, całkiem sporo”, ale jego mikroskopijny ludzki umysł nie może zrozumieć jej prawdziwych rozmiarów, ponieważ jest zbyt maluczki. Tak właśnie się czułem.

Dobrze wiedziałem, kiedy podobam się dziewczynom. A przynajmniej poznawałem, że ze mną flirtują. A jednak Grace Town ze mną nie flirtowała. I wcale jej się nie podobałem, a jeśli nawet, to wyrażała to w sposób, do którego nie byłem przyzwyczajony.

Z miejsca wyczuwałem też, kiedy to mnie spodobała się jakaś dziewczyna. Na punkcie Abigail Turner (z przedszkola) i Sophi Zhou (ze szkoły podstawowej) miałem obsesję. Byłem nimi zauroczony. Sytuacja z Grace wyglądała jednak inaczej. Nie byłem nawet pewien, czy ona mnie kręci. Nie znajdowałem w sobie palącego pożądania. Nie miałem ochoty zedrzeć z niej ubrania i rzucić się do jej ust. Po prostu... mnie do niej ciągnęło. Chciałem być obok, krążyć wokół niej tak, jak Ziemia krąży wokół Słońca.

Nie bądź kretynem, Henry, napomniałem sam siebie.

(…)

Jedno było pewne: zaledwie pięć krótkich tygodni po tym, jak się poznaliśmy, nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o Grace Town.